

WYWIAD Z MJR STANISŁAWĄ KOCIEŁOWICZ ZAREJESTROWANY 15 MARCA 2020 ROKU.



fot. Marta Stysiak, Tajga Syberyjska

Z koleżanką zdawałyśmy egzamin w Wilnie na Uniwersytecie Wileńskim, który wcześniej miał inną nazwę: Uniwersytet Stefana Batorego. Zdałyśmy indywidualnie egzamin. Ponieważ nie było filologii polskiej dostałyśmy skierowanie do Moskwy. I pojechałyśmy: ja i Teresa Skupiówna, moja koleżanka ze szkoły. W Moskwie jeszcze raz zdawałyśmy egzamin. Przeczytano nam w języku rosyjskim opowiadanie, którego nie znałyśmy. Dwa razy. I musiałyśmy je streścić.

MOSKWA

Zaczęłyśmy studia. Teresa pisała wiersze, ja już, no cóż, przestałam pisać, bo uważałam, że ona robi to lepiej. Zwiedzałyśmy Moskwę, chodziłyśmy do Galerii Tretiakowskiej. Zimą jeździłyśmy na nartach i na łyżwach. Ona może mniej, za to częściej spotykała się z Polakami. Mną zajął się student prawa. Prawdopodobnie zlecili mu obserwowanie grupy polskiej. Myślę tak, dlatego, że interesował się wszystkimi Polakami, niby starał się pomóc. Gdy ktoś miał jakieś

problemy to zwracano się właśnie do niego. To on proponował wyjazdy na narty, zwiedzanie Moskwy i zwiedzanie galerii. Mieszkałyśmy w bursie na Strumience obok lodowiska. Był tam park, a my jeździłyśmy dookoła tego parku. Pożyczałyśmy narty i łyżwy i jeździłyśmy.

Teresę aresztowano chyba w lutym, a ja trafiłam do szpitala z wyrostkiem robaczkowym. Kiedy wróciłam zaczęły się egzaminy. To był kwiecień. Wyszłam na chwilę do parku, żeby się przygotować i wtedy podszedł do mnie jakiś student. Zapytał czy nazywam się Kowalewska a zaraz za nim zbliżał się mężczyzna w czarnym płaszczu. Poproszono mnie do samochodu, czornyj woron (czarna wołga), no i wiedziałam już, że podzielę los Teresy. Muszę powiedzieć, że już od razu, kiedy zobaczyłam twarze kryminalistów w tym samochodzie, ogarnęło mnie przerażenie i wtedy strażnik z bronią wydał mi się najsympatyczniejszy. Jeżeli szukałam wtedy jakiegoś ratunku to właśnie u tego strażnika.

WIĘZIENIE

Potem szybko dojechaliśmy do Łubianki i już na Łubiance zostałam w celi, gdzie były tylko dwie osoby. Ja i jeszcze jedna Rosjanka. Prawie, co noc byłam wzywana, bo w nocy były tylko przesłuchania. Pytali oczywiście, do jakiej organizacji należałam w Wilnie. Ale oni już wszystko wiedzieli, bo to był przecież 1950 rok. Zaczynało się zwyczajnie: nazwisko, imię i co robią rodzice, gdzie mieszkałam, co robiłam, jak to wyglądało ta Sodalicja, kiedy, co, gdzie się spotykaliśmy, co robiliśmy czy chodziliśmy na jakieś wycieczki. I tak bez przerwy. Jakie osoby należały do związku Harcerstwa Polskiego i do Sodalicji.

Harc mistrzyni, mówiła żeby przyznawać, że byłyśmy w Sodalicji i że koleżanki zostały aresztowane. Poradziła mówić, że spotykaliśmy się w kościele, można wymienić nazwisko księdza i nie ukrywać faktu, że byłyśmy w Sodalicji. Sodalicja to jest religijne stowarzyszenie, do którego może należeć młodzież.

I tak mniej więcej, co noc to się powtarzało. To samo. Tylko dodawali, wymieniali jakieś nazwisko na inne i pytali: czy znam, czy był. To samo przez cztery miesiące. Potem już nie co noc, ale z

przerwami. Chcieli się dowiedzieć, czy będę powtarzała to samo co mówiłam na początku. Chodziło o sprawdzenie nazwisk i miejscowości, żeby śledzić tych ludzi. Nika Gojrzewska była chyba aresztowana w 49' i ksiądz też. A ja w 1951.

Najpierw była Łubianka, to jest więzienie śledcze. Ja dostałam artykuł 58 10 punkt pierwszy i jedenasty, to jest: więzień polityczny. Wyrok: 8 lat.

Po odczytaniu wyroku przewieźli mnie do więzienia Butyrki.

Było nas cztery w celi. Jakieś dwie Rosjanki, jedna starsza, druga blondynka. Była tam Irena Myszkiniś, nauczycielka języka francuskiego, z którą się od razu zaprzyjaźniłam, i która postanowiła uczyć mnie języka francuskiego. Po ogłoszeniu wyroku pozwolili nam palić papierosy. No, więc, zwęgloną zapałką zapisywałam słówka na jakimś papierze. Uczyłam się tych słówek i potem uczyłam się oczywiście piosenek. No, bo cóż można było robić... "Szante, szante pour moi"... Chodziłam po tej celi i śpiewałam piosenkę po francusku. Teraz już może mniej pamiętam, bo tylko początek.

Stwierdziłam, że warto wykorzystać ten czas żeby po prostu uczyć się czegoś, a ponieważ uczyłam się w szkole rosyjskiego, uczyłam się niemieckiego, litewskiego, łaciny, więc nic nie szkodzi żebym jeszcze poznała język francuski. No, ale to zostało tylko w pamięci, te kilka piosenek. A potem, kiedy już przyjechałam do łagru, nie było możliwości utrwałać tego. Szkoda.

Tam rozmawiałam po niemiecku. Bardzo dużo było Niemek i jeżeli tylko była możliwość rozmawiałam po niemiecku. Tak jak z Polski, wywozili, tak też wywozili z Niemiec, z Łotwy, z Litwy, i Estonii. Ze wszystkich tych republik Rosjanie wszystkich tych ludzi, którzy byli wrogami ludu, wywozili.

TRANSPORT



fot. Marta Stysiak, Tajga Syberyjska

Oczywiście trzeba było iść parami, w cztery osoby – z jednej strony strażnik, z drugiej strony strażnik i psy. Oczywiście strażnicy ciągle napominali "Szybciej! Szybciej! Jeden krok w prawo albo w lewo i będziemy strzelać bez uprzedzenia!". Ponieważ ja byłam po tej operacji wyrostka robaczkowego i czułam się źle, starsze więźniarki, starsze panie, Rosjanki, pomagały mi iść, bo taka byłam osłabiona. Byłam najmłodsza, więc zdawałoby się, że silna, ale jednak byłam bardzo słaba po tej operacji.

Doszliśmy do pociągu i tam nas załadowali. Przedziały były oddzielone kratami od takiej jak gdyby dróżki, którą się przechadzał wartownik. Więc to było takie przejście. Można powiedzieć, że po lewej stronie to były te przedziały zakratowane, a na prawo dróżka, którą chodził bez przerwy strażnik. Jak prosiliśmy o pójście do ubikacji to szedł z nami strażnik i stawał obok. Straszne to było, upokarzające. Nie można było ruszyć się bez niego.

Dali nam na drogę jakąś słoną rybę, kawałek chleba, ale o wodę trzeba było prosić. Prosiłyśmy strażnika, żeby dał nam, choć

trošeczkę, bo słoń rybę przecież jadłyśmy a po niej chciało się pić.

Dojechaliśmy do miasta Gorki.

Tam czekaliśmy kilka dni. To było moje pierwsze zetknięcie z kryminalistkami. Od razu można było poznać, że to były kryminalistki. My Polki różniłyśmy się wyglądem od tych dziewczyn. Wszędzie, czy to w więzieniu czy potem w łagrze.

Roznosiłam jedzenie. Stare więźniarki ostrzegały, żeby nie stać naprzeciwko okienek, bo jak dają taką wodę zamiast zupy to czasami więźniowie wylewają ją na roznoszących z tych misek, więc trzeba delikatnie nalewać zupę do misek i podawać przez okienko. Tam zetknęłam się z wielką sympatią ze strony więźniów. Dowiedzieli się, że jestem Polką i dostałam jakąś paczuszkę gdzie były spisane wiadomości z łagru, więc pod miską schowałam, ale jedna Polka powiedziała, że ponieważ jestem w łagrze tylko kilka dni, to jeszcze nie potrafię przechować tej paczki, a to są jednak cenne dokumenty. Oddałam te wspomnienia.

Była tam też jedna Ukrainka. Dziewczyna była o mnie zazdrosna, a może nie lubiła Polaków, więc kiedy myłam miski i wyciągnęłam ręce, to wylała mi na nie wrzątek. Stałam przed barakiem z wyciągniętymi rękami i suszyłam na słońcu. I to było takie lekarstwo. Ale najgorsze były noce, kiedy do tych ran dostawały się pluskwy.

Na szczęście nie było żadnego zakażenia i powoli te rany zaczęły się goić. Po pewnym czasie wezwali nas znów z węzłkami do wyjazdu i pojechaliśmy do Tajszetu, między Krasnojarskiem a Irkuckiem.

Nikt nie wiedział, nikt nikomu nic nie mówił. Można było się orientować, że jedziemy gdzieś daleko na wschód, bo robiło się coraz zimniej, już były śniegi. Tak, że wiadomo było, że jedziemy gdzieś na Syberię. Mijałyśmy Góry Uralskie. Widziałyśmy te góry majestatyczne, piękne. Uralskie góry rzeczywiście robiły wrażenie i – mimo tego upokorzenia, że jechaliśmy, jako więźniarki – to zapamiętałam piękno tych gór i potem tajgi.

ŁAGIER TAJSZET 121



fot. Marta Stysiak, Tajga Syberyjska

Jechaliśmy chyba dwa tygodnie. Wsiadaliśmy. A tam w ogóle nie było miasta. Gdzieś głęboko w tajdze był tylko obóz ogrodzony drutami kolczastymi. Piechotą musiałyśmy dobrnąć do bramy. Brama się otworzyła. Sprawdzali nasze nazwiska. Brama się zamknęła. Od razu przy wejściu skierowali nas do baraków, gdzie były wolne miejsca. Może to była sobota, może niedziela, łagierniczki, które były na terenie obozu, nie pracowały i ktoś wychodził do bramy, wiedząc o tym, że przyjechały nowe dziewczyny. Prawdopodobnie była to Pani Regina Siemaszko, która pytała czy są Polki. Wśród przywiezionych kobiet. Byłam tylko ja jedna, bo już w tym czasie polek nie wysyłali. Przeważnie wszystkie, łączniczki i żołnierze Armii Krajowej, były więzione od 44., 45. roku. A ja trafiłam w 1951 i świadomość, że będę tutaj 8 lat, powodowała, że z drżeniem przekroczyłam bramę. Wtedy podeszła do mnie prawdopodobnie Pani Regina Siemaszko i zaopiekowała się mną. Wiedziała, że te pierwsze lata są najtrudniejsze. Te pierwsze dni, te pierwsze godziny... i poszła razem ze mną do baraku. Na narach były sienniki, które się napętniało słomą. Kiedy była ładna pogoda, kazali nam wziąć te sienniki i wysypać tą starą słomę by uzupełnić nową z pola. Były koce. Jeden koc, na którym

spatyśmy, drugi koc, którym się nakrywałyśmy. Pani Regina powiedziała, że rano wychodzimy do pracy. Potem jest sprawdzanie. W dwuszeregu stoimy i sprawdzają, liczą obecność wszystkich łagierniczek. Wiedziała, że te pierwsze chwile są najtrudniejsze i powoli wprowadzała mnie w to życie. Uspokajała, chciała mnie przyzwycząić do tego, że nie będzie mowy o wyjściu. Baraki były zamykane na noc i tego pilnowała woźna baraku „gniewalna”.

Jakieś osiem baraków było wszystkich. Osiem i łaźnia.

Może koło dziesięciu. Więcej nie było. Prycze nazywały się "nary" to ile było? 5, 10 prawie 20 w jednym. I jedna taka "nara", taka prycza, to 4 osoby. Na dole dwie i u góry dwie. No i jeżeli tych było 20.... Dwie spały u góry, dwie spały na dole. No i metr dalej następne. Metr dalej następne. Więc prawie 80, 100 osób było w jednym budynku, tak zwanym baraku. Wszystko było z drewna. Nary były z drewna i barak też. Wszystko, bo drewno było dostępne. Początkowo w 45, 46 roku ludzie spali na deskach. Nie było przecież sienników. To były zupełnie inne warunki. Już jak ja byłam też były inne. Samo to, że my dostałyśmy sienniki i mogłyśmy od czasu do czasu zmienić słomę było luksusem.

Baraki były takie same. W środku była umywalnia, tzn. takie deski, gdzie były wydrążone otwory i popychało się takim żelaznym, i woda leciała. W korycie była woda.

Na podwórku oczywiście, pośrodku, tam się można było umyć, bo nikt się nie mył w środku. Albo w łaźni. Do łaźni chodziliśmy co dwa tygodnie. Tam prażyli czasami ubranie, choć ciągle były te pluskwy i wszy, ale przede wszystkim pluskwy. Nie można było ich wytępić. Nie można było im dać rady.

Najgorzej to było w "Gorkim" (obóz etapowy), tam gdzie było tak dużo ludzi, a potem w "Okrzy". Niby się tępiło, niby się szorowało. Już niby wszystko w porządku i znów skądś się brały te pluskwy. To była plaga. I były wszy łonowe. No i komary. Komary nie były tak straszne jak ta muszka. Ta mała, drobna muszka, która dostawała się wszędzie. Straszne były te muszki. Wciskały się wszędzie. Przychodziły dziewczyny z wyrębu lasu czasami całe zakrwawione. Krew dosłownie leciała. Wszędzie się dostawały. Tak trudno było

się uchronić, a my w tych halach fabrycznych nie miałyśmy przecież nic. Tam nie było tych muszek.

Ale ten pył wystarczył już za te muszki.

Była piękna jesień. Nie było śniegu. Wysyłali nas do prac w lesie. Albo sadzenie lasu albo układanie już zrąbanego zwałonego drewna. Ponieważ ja miałam wysoką temperaturę, więc po jakimś czasie zostawiali mnie w zonie, to znaczy w łagrze. A potem już pracowałam w biurze, na terenie łagru.

Są pracownicy, jest kierownik robót, jest dyrektor tego więzienia. Nikt nie pytał, „Co pani umie robić?”. To, że wszyscy pracowali, to zależało od ich zdrowia. Na przykład prawie wszystkie Ukrainki, zdrowe dziewczyny, szły od razu na wyrąb lasu. Od razu były tam wysłane. Dlaczego mnie zostawiali w łagrze, w biurze? Dlatego, że ciągle miałam gorączkę prawie czterdzieści stopni temperatury. Powtórzyły się zrosty po wyrostku robaczkowym, zdawałoby się, że to nic wielkiego, ale jednak to ciągle dokuczało. Przenieśli mnie do biura. W biurze sporządzałam listy wszystkich więźniarek. Pisałam, przepisywałam. Takie były te prace. Także miałam w porównaniu do innych więźniarek o wiele lepiej. Zaczęły mi zazdrościć. Ale zawsze coś jest, co Bozia zsyła żeby człowiekowi ułatwić. Było mi lżej, oczywiście. Kiedyś jedna Polka, bo te Polki, starsze panie, modliły się i plotkowały, powiedziała, że jestem na innych warunkach bo pracuję w biurze. No i potem mnie przenieśli i zaczęła się praca. Kiedy już uruchomili fabrykę, chodziłyśmy do fabryki miki obok łagru, tak, że nie trzeba było daleko chodzić. Dostawałyśmy już przygotowane bryły miki. Gdzieś niedaleko była kopalnia, gdzie pracowali mężczyźni i nam dostarczali już pocięte kawałki na mniejsze. Dostawałyśmy gotowe kawałki. Takie właśnie jak mówiłam, wielkości jabłka. Dostawałyśmy też bardzo ostre noże i trzeba było rozłupywać te bryły na takie cieniutkie płytki. Trzeba było jak najszybciej nauczyć się tym nożem operować. Tam nie było kilogramów tylko ileś tam kamieni dostawałyśmy. Każdy przychodził do stolika, siadał na krześle, miał nóż. Oczywiście był dozorca, który sprawdzał. Był kierownik robót i trzeba było to szybko robić i oczywiście jak najwięcej takich listków przygotować.

Niektóre więźniarki uprzedzały, że trzeba uważać, że trzeba nosić maseczki, że trzeba uważać na oczy, zakładać chusteczki na głowę, żeby się ten pył nie dostawał wszędzie. Całe byłyśmy pokryte tym kurzem. Wszystko błyszczało, wyglądałyśmy rzeczywiście jak księżniczki – pięknie. Ale mika szkodziła. Płuca, oczy, zawsze czerwone, włosy potem zaczęły wypadać. Straszna to była praca. Nie była taka bardzo ciężka, ale bardzo szkodliwa.

Od szóstej, jeżeli się nie mylę, czy od siódmej, była praca, bo było śniadanie, potem to sprawdzanie. Zawsze rano przecież apel. I to czasami długo trwało, bo się ciągle myliło tym strażnikom. Apel, śniadanie i potem zaczynałyśmy od siódmej, czy ósmej do wieczora.

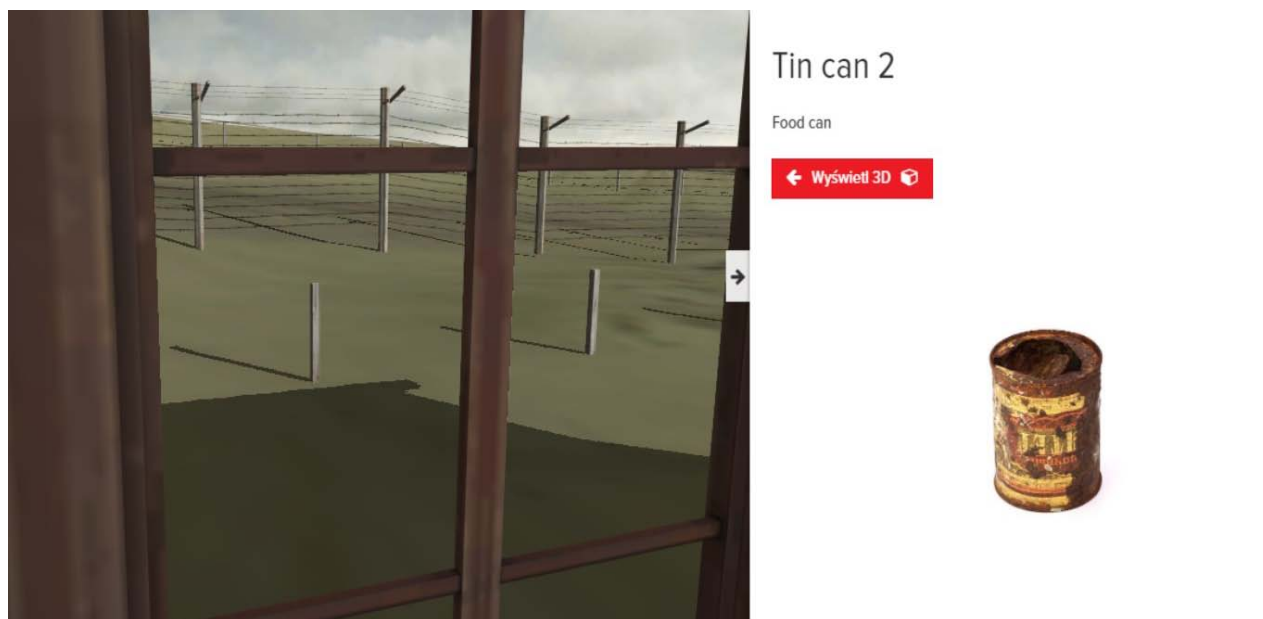
Nikt nie chciał się narażać na dodatkowy karcer, więc, w miarę możliwości, starały się wszystkie chodzić na apel. Wyjątkowo chore kobiety zostawały w punkcie, gdzie było kilka łóżek, bo nie było szpitala. Ponieważ w łagrze nic nie było – tylko praca w tej hali fabrycznej albo wyrąb lasu – to dziewczyny nie uchylały się od tych robót. Przedtem w 45., 46 na pewno to wyglądało inaczej. Ale już w latach pięćdziesiątych to wyglądało inaczej.

Czasami stałyśmy godzinę, bo nic się nie zgadzało: albo było za dużo, albo za mało, albo ktoś się schował. Ciągłe liczyli i liczyli. Zawsze był taki przegląd i liczyli, i wtedy zakomunikowali, że zmarł Stalin.

ŚMIERĆ STALINA

Jak można było wypuścić? Przecież wyroki mieliśmy po 10 lat. Nie ma nawet mowy, nie mogli wypuścić przecież. To jednak w dalszym ciągu byli enkawudziści, w dalszym ciągu to była władza. To trudno, że Stalin zmarł. No i zakomunikowali. No, więc jeżeli chodzi o Polki i inne dziewczyny, to była największa chyba radość, którą przeżyłyśmy. Niektóre Rosjanki płakały, że zmarł ten Stalin, co było oburzające dla nas. My cieszyłyśmy się bardzo. No i właśnie dlatego lżej trochę nam było.

PACZKA



fotografia puszki źródło: wirtualne muzeum gulagu, gulag.cz

Jak byłam na Syberii dostałam, prawda, jedną paczkę. Kto by na Syberię się wybrał z Wilna. Mowy nawet nie było. Siostra potem już studiowała we Lwowie w instytucie wychowania fizycznego. Brat trafił do wojska. Tak, że nie było mowy, żeby w ogóle ktokolwiek przyjechał do łagru. Ja nie pamiętam, żeby ktoś potrafił przyjechać do łagru. Chyba nawet by nie pozwolili na spotkanie.

Herbata z paczki. Natychmiast trzeba było ją oddać kryminalistkom. One wiedziały, że już paczka przyszła. Już się interesowały, już stały i wiedziały, że oddamy im herbatę, bo inaczej by same zabrały, czy jeszcze by rękę odcięły. Bo robiły sobie wywar, zwany "Czyfir" i narkotyzowały się tym napojem, był bardzo mocny. Nie wiem jak one to robiły. To był narkotyk w łagrze.

CHLEB

Taki kawałeczek. To nie była kromka, to taki kawałek. Bochenek był rozkrojony na takie kawałeczki, które ważyły 250 lub 350 gramów. Kawałek chleba. Nikt nigdy kromek nie kroił. Czasami starsze panie zostawiały połowę tego kawałeczka chleba dla nas. Także my miałyśmy troszeczkę więcej. Odmawiały sobie, bo widziały, że młodsze dziewczyny potrzebują więcej niż one.

Bardzo często była zupa z ryby. Albo jakaś tam kapusta, kilka listków. I czasami te takie gotowane kawałki ryby. I kasza. Dostawaliśmy kaszę. Właściwie to ta kasza potem była dla nas dobra. Niektórzy potem, jak przyjechali do Polski, opowiadali, że nie mogą patrzeć na kaszę. Przecież ten pęczak to dobra kasza. A my dostawaliśmy go często. Dostawaliśmy też troszeczkę cukru. Musiałyśmy mieć takie woreczki, żeby ten cukier schować. Specjalnie szyłyśmy takie malutkie, no, bo gdzieś trzeba było go trzymać. Od razu nie piłyśmy, ale jak dawali nam np. na tydzień raz ten cukier, to trzeba było gdzieś schować. Każdy miał taki woreczek i w tym woreczku trzymał sobie cukier.

Każda miała, każda szyła taki woreczek. No, bo to było na tydzień. Raz na tydzień dawali, raz na dwa tygodnie.

Herbata. Jaka to była herbata? Niepodobna w smaku do herbaty. Jak sypnęli do kotła garść, to, co to za herbata była. Ale to był jakiś taki napój, który się liczył, że jest herbatą.

Jeden raz było Boże Narodzenie. No i dziewczęta, te Polki, które siedziały przyszyły. Ja mówiłam tylko o kilku, bo w moim braku była tylko jedna Marysia Skrendo. A w innych barakach była Wokłaniewska i pani Regina Siemaszko. Nie pamiętam jak się nazywała, ale powiedziała: „Ty teraz przygotujesz wieczór opłatkowy. Musisz przygotować”. Zebrałyśmy troszeczkę cukru, troszeczkę chleba. Ktoś już paczkę dostał. Ale żeby przygotować to musisz nożem rozciąć sobie palec i iść do – nazwijmy to przychodni – czy do tego punktu medycznego i prosić o zwolnienie, więc byłam zdumiona i powiedziałam, że w życiu sobie palca nie potrafię uciąć tak żeby potem iść po zwolnienie. Wzięła moją rękę, wzięła nóż i rozcięła mi palec.

Zostałam oczywiście z tą obandażowaną zakrwawioną ręką i starałam się coś przygotować z tych produktów, które zebrały dziewczyny. Nadeszła Wigilia i śpiewałyśmy cichutko kolędy. I dołączyły inne kobiety; Niemki, nawet Rosjanki. Ja z obandażowaną, zakrwawioną ręką siedziałam przy tych naszych narach i to była taka Wigilia. Powiem szczerze, że przerażona byłam trochę, szczególnie wtedy, kiedy ona powiedziała, że muszę sobie palec rozciąć. Nie wyobrażałam sobie jak można sobie rozciąć palec. Jak

wyczuć ile rozciąć? A ona szybciotko, wzięła rękę raz machnęła mi po palcu. Dobrze, że go nie odcięła. Tak to potrafiły robić więźniarki, które siedziały już sześć, siedem lat.

WACIAK



Fotografia z wywiadu z mjr Stanisławą Kocietowicz

Właśnie już zaczynałam chorować i dostaje waciak. Jakieś spodnie i buty. Buty sznurowane. Już nawet nie pamiętam. Przecież ja swoich rzeczy nie miałam. Wszystko to dostawałam. Musiałam gdzieś dostać, musieli dać. Bo ja byłam w jakiś pantofelkach. Przecież to było lato i byłam na uczelni, więc byłam w jakiś pantofelkach i sukieneczce. Może jakiś lichey sweterek był. Także wszystko otrzymałam od nich.

Wszystkie były jednakowe. Takie coś w rodzaju między zielonym a brązowym. Takie wszystko to było takie bure, ponure, niesympatyczne. No, ale były te buszłaty, musieli nas zaopatrzyć w odzież.

Igły były, nie wiem może gdzieś dostawałam w paczkach, kiedyś to z jakichś ości robiły dziewczyny, ale potem już były. Ja już miałam normalną igłę i pięknie robiłam koronki do chusteczki. No każda coś robiła, to trzeba przyznać, że każda z więźniarek coś robiła, albo

szyła, albo wyszywała, albo pisała, najprzeróżniejsze prace wykonywały. Przychodziły z pracy bardzo zmęczone, odpoczywały i dalej coś robiły. Marysia brała stare waciaki, ponieważ więźniarki dostawały na zmianę nowe, a stare oddawały, robiła w nich dziurkę i wyciągała z nich watę. A potem z jakiś kawałeczków, czasami z paczki, która była owinięta płótnem, zszywały kołdry. Maria zrobiła podczas swojego pobytu w łagrze – a 10 lat siedziała – dwie kołdry. Kiedy się zorientowały, że jestem Polką i że mam taki straszny kaszel gruźliczy, bo zaczęłam chorować na zapalenie płuc, Maria dała mi swoją jedną kołdrę. Wygrzałam się, wstrzyknęli mi krew pobraną z ręki w pośladek i jakoś doszłam do siebie. Choć właściwie ten kaszel to i do tej pory mi został. Żeby zrobić w łagrze dwie kołdry, i pozyskać watę z tych waciaków to rzeczywiście trzeba było pracować. Więc ona właściwie nie wychodziła prawie nigdzie, siedziała na tych swoich narach i szyła i szyła, wyszywała. A potem dziewczęta powiedziały słuchaj: „Ty też musisz się nauczyć”. Znalazły kawałeczek jakiegoś materiału, z paczki, bo paczki były zawsze w specjalnych workach uszytych z płótna, białe płótno, albo cieńsze albo grubsze. Wyciągały z różnych swoich sukienek, bluzek, niteczki – i pokazywały jak robić. Zaczęły uczyć mnie wyszywać w Tajszecie a potem kontynuowały już inne w Poćmie.

To ja wyszywałam stojąc na tym apelu.

Pięknie robiłam koronkę igłą. Nie haczykiem, nie szydełkiem, a właśnie igłą. Rozdawałam je na pamiątkę. Nie wiem czy teraz potrafiłabym zrobić taką piękną koronkę.

Po pracy w hali fabrycznej, po zjedzeniu posiłku miałyśmy kilka wolnych chwil. Więc albo spotykałyśmy się z innymi Polkami, ale nie tylko, bo przychodziła też Galina – Rosjanka.

GALINA

Fotografia z prywatnego archiwum mjr Stanisławy Kocietowicz

Galinie opowiadałam o Moskwie, o galerii Trietiakowskiej, o tym, że jeździłam na łyżwach, na nartach. Że uczyłam się, przygotowywałam do zajęć i zaliczeń w największej bibliotece, to oczy jej się świeciły z wrażenia, że ktoś może tak żyć. Że są ludzie, którzy tak żyją. Ona prawdopodobnie nigdy nie chodziła do szkoły. Czy one (kryminalistki) chodziły do szkoły? Przecież, jeżeli siedziały w łagrze to albo gdzieś zabiły, albo jakoś zasłużyły na karę. Zwykle siedziały pięć, sześć lat. Ale dostawały też 10 lat. Nie dostawały dwóch czy trzech. Galina to była młoda dziewczyna. Mniej więcej jak ja, była w moim wieku. Nie była starsza. Miała gdzieś 19, 20 lat. Tam zresztą wszyscy byli młodzi.

Po przyjeździe widocznie ktoś jej powiedział. Skąd ona mogła wiedzieć, że ja studiowałam w Moskwie? Dlaczego z takimi pytaniami zwróciła się do mnie? Czy jej się podobałam? Różnie to było z kobietami. Raptem tutaj ona blondynka i tu taka czarnulka

przyjechała. Wesoła i jeszcze uśmiechnięta. I jeszcze w łagrze. Nic dziwnego, że zainteresowała się taką dziewczyną.

Grała w karty. Były tam jakieś rozgrywki. Przychodzi do mnie, rozmawia ze mną, mówi, że ma nieprzyjemności. Prawdopodobnie podpadła grając w karty. Trudno mi powiedzieć, nie mówiła przecież wszystkiego, co się tam dzieje wśród nich. I powiedziała, że musi postawić mnie. Prawdopodobnie przegrała bardzo dużo, już nie miała co postawić i postanowiła mnie. Byłam tak zdumiona i przerażona, że powiedziałam: „Przychodzisz do mnie, prosisz żebym opowiadała, że mnie lubisz. Nawet, że mnie kochasz. A tutaj nagle chcesz postawić moje życie w karty?”. Ale ona powiedziała, że nie ma wyjścia, musi to zrobić. Jeżeli jej nie będzie to ktoś inny się mną zaopiekuje. „Dlaczego ktoś inny ma się mną opiekować?” pytam. Co to znaczy, że się zaopiekuje? „Bo tak jest u nas. Nic jeszcze nie wiesz o łagierniczkach.” Z tej jej rozmowy nie wynikało, że ona zniknie. Absolutnie. To było zaskakujące i dziwne, dlaczego ona zginęła a nie ja. I dlaczego mną ktoś się miał opiekować? Jeżeli ona mnie postawiła, to ja musiałam zginąć. A dlaczego ona zginęła? Wszystkie szukały. Ja szukałam. Wszystkie chodziłyśmy do innych baraków. Nie ma Galiny. Nie ma, zniknęła. Nikt już do mnie nie przychodził. Żadna kryminalistka do mnie nie podeszła, nawet nie rozmawiała.

Coś się stało. Nie mogłyśmy rozwikłać, co się stało z Galiną, że potem nigdy... A zresztą wszystkie więźniarki w tym baraku, wiedziały, że Galina przychodzi. Że rozmawia ze mną. Że siedzi na tych narach. I potem, że nagle zginęła. Wszystkie się interesowały. Może nawet i rok to trwało. Przecież czas leciał. To jest taka zagadka dla mnie. Zresztą nie tylko dla mnie. Nie wiadomo ile ona nawet klas miała, czy chodziła do szkoły. Te kryminalistki na pewno miały przecież wyroki albo za kradzież, albo za zabójstwo. Na pewno te dziewczyny już swoje przeżyły. Miały zupełnie inny świat, niepodobny do naszego.

Tylko przychodziła do mnie, ze mną rozmawiała. Nawet nie pytała o koleżanki. Nie. Różnie było. Raz przyszła, włosy takie rozwichrzone, zmarznięta. Była zdenerwowana czymś. To wtedy nie

rozmawiałyśmy. A tak przeważnie ja opowiadałam. Prosiła: „Opowiadaj”.

Opowiadałam bardzo barwnie, bardzo kolorowo, bardzo ładnie po rosyjsku. Na pewno ubarwiałam. Oczywiście. O zapachu tych antonówek, które leżą (w domu rodziców na poddaszu) ... pewno ubarwiałam. Dla niej to było prawie jak bajka. Byłam z nią w Moskwie, byłam z nią w Kolonii Wileńskiej, byłam w Wilnie. Opowiadałam o tych wszystkich miejscowościach, co byłam. Bo przecież byłam i w Mińsku. Ona bardzo mało mówiła. Bardzo mało, nawet o kryminalistkach, to właśnie w ostatnim dniu powiedziała, że: „Ty nie wiesz, co to te kryminalistki mogą”. Że ona jest niby inna, niż te wszystkie pozostałe. W każdym razie słuchała. Jak przychodziła, to nie miałam żalu do niej, że ona przychodzi, bo lubiła słuchać. I opowiadałam, a ona lubiła słuchać. Zresztą i te kobiety, które obok leżały też słuchały. My siedziałyśmy na narach. Ona siedziała naprzeciw mnie. Czasami wychodziłyśmy, patrzyłyśmy na zachody słońca. Ale te zachody słońca to do tej pory podziwiam nawet tutaj. Jak jakiś ładny zachód słońca to robię zdjęcie. I mam właśnie tutaj w aparacie tyle tych zachodów i wschodów słońca. Pojechałam do Świnoujścia. I też zrobiłam kilka zdjęć i same zachody słońca. Są tak piękne.

Interesowała się wszystkim, o czym mówię. Bo mówiłam po rosyjsku. Po rosyjsku mówiłam dosyć dobrze, nie mam ponoć naleciałości, ani tych z Leningradu, ani tych naleciałości z Moskwy. Mówię językiem czystym rosyjskim. I to jej się bardzo podobało. I gdzie nie byłam, i gdzie nie mówiłam, to ten język rosyjski w moim wykonaniu był taki inny troszeczkę. Taki wyuczony, ale ja do przesady zwracałam uwagę na piękno, na wymowę tego języka.

Na pewno im to wszystko imponowało. Widocznie dziewczyna jakaś biedna, tam gdzieś czy ukradła, czy kogoś zabiła, trudno powiedzieć, bo nie chciała o tym mówić, ale na pewno ją zaciekawiłam, dlatego przychodziła. Dlatego chciała wiedzieć, jaki jest ten świat. Jaki jest świat w Wilnie. Przecież jak przyjechali Rosjanie, zajęli nam mieszkanie, bo mieszkaliśmy w Wilnie. Mieliśmy domek i były dwa wejścia. Jedno było wejście od podwórka, drugie przez werandę. No i byli tam Rosjanie, poczta polowa. No, więc też tak samo spotykaliśmy się z nimi. I też

rozmawialiśmy po rosyjsku. Były to pierwsze spotkania z językiem rosyjskim. Nie znaliśmy przecież tego języka rosyjskiego. To znaczy może troszeczkę zetknęłam się z tym językiem rosyjskim – z tabliczką mnożenia. Bo tatuś wychował się w Rosji. Tatusia ojciec został zabrany do wojska w Rosji. To była Rosja carska, Wilno było przecież pod zaborem rosyjskim, i służył w wojsku, mając przy sobie rodzinę i czworo dzieci. Czterech synów babcia miała. I tatuś mój chodził do szkoły rosyjskiej i uczył się tylko po rosyjsku. I jak wrócił do Wilna po Rewolucji Październikowej, bo w czasie Rewolucji Październikowej dziadkowie stracili dwóch synów, z najmłodszym, moim Tatusiem Karolem, przyjechali do Wilna, a najstarszy mieszkał w Rostowie nad Donem. Tatuś tabliczki mnożenia nigdy się nie nauczył po polsku. Zawsze mówił po rosyjsku.

BURZA



fot. Marta Stysiak, Tajga Syberyjska

Czy to była śniegowa burza czy deszcz, zaczynało się od wiatru? Olbrzymia czarna chmura nadciągała. Robiło się nagle ciemno, ciemniej prawie niż w nocy, bo noce tam są od śniegu prawie zawsze jasne szczególnie zimą. Ale jak się zbliżała ta burza, ta

purga, to robiło się ciemno. Chmury ciemne i wiatr z taką siłą uderzał o ściany, że zdawało się czasami, że te ściany się rozlecą a my gdzieś tam pofruniemy. Także te podmuchy wiatru były najgorsze. No i potem śnieg. Śnieg padał tak gęsty, że dwa, trzy kroki i nie było widać drugiego człowieka. Ulewy też były. Wiatr taki szumiący... Zimą to oczywiście trzeszczało to wszystko. Drzewa trzaskały od tego mrozu. Powiewy wiatru były tak silne, że natychmiast trzeba było się schronić do baraków. Najgorzej miały te dziewczyny, które chodziły na wyręb lasu. Kiedy taka burza ich tam zastała, to biedne przychodziły i większość koleżanek wychodziło dowiedzieć się czy nic im się nie stało czy nie przywaliło ich drzewo?

NUMERY

I musiałyśmy przyszyć do tych waciaków. Wszystkie miałyśmy numery. Właśnie nie mogę przypomnieć sobie, jaki miałam numer. Nie utrwalalam tego numeru, bo nosiłam go na plecach. Przecież jak zdejmowałam to widziałam ten numer. I jak przyjechałam, tak jak nie mogłam przypomnieć sobie adresu Pani Reginy Siemaszko, tak nie mogłam sobie przypomnieć, jaki miałam numer. Początkowo pamiętałam, a potem wyleciało mi z pamięci.

Przez wiele, wiele lat nic się nie mówiło. Przecież nawet jak przechodziłam na emeryturę i powiedziałam już tutaj w Polsce, że byłam w łagrach to te panie w ZUS-ie powiedziały:, Jakie łagry? Kto mówi o łagrach? W Związku Radzieckim żadnych łagrów nie było. Więc bardzo długo nikt nie wiedział, że ja byłam w łagrach. Kiedy się dowiedziałam, że nie ma łagrów w Związku Radzieckim, że na wczasy wysyłają tam Polaków, no to przeżyłam szok. Trafiliśmy do tej Polski wymarzonej, myśleliśmy, że to jest raj, a tutaj dowiadujemy się, że kolega siedział w łagrze a koleżanka z Wilna dostała dwukrotną karę śmierci. To był dla nas szok. Mój mąż, jako technik dentystyczny postanowił jeździć po całej Polsce, do kolegów łagierników, żeby im pomóc. Jeszcze teraz przeglądałam kiedyś zdjęcia i list, w którym czytam: „Witku, czy mogę do Ciebie przyjechać, bo chciałbym zrobić zęby”.

Fotografie z prywatnego archiwum mjr Stanisławy Kocietowicz

INTERVIEW WITH MAJOR STANISŁAWA KOCIEŁOWICZ REGISTERED ON MARCH 15, 2020.

Me and my friend, we passed the exams in Vilnius at the Vilnius University, which had a different name then - Stefan Batory University. We took the exam individually. Because there was no Polish philology we were referred to Moscow. And so we went to Moscow. Me and Teresa Skupiówna, my friend from school, we passed the exam there again. We were to read a story in Russian twice and we summarized it.

MOSCOW

We started the studies. Teresa wrote poetry, and I had already, well, stopped writing because I thought she did it better. We visited Moscow; we went to the Tretyakov Gallery. In winter, we were skiing and ice skating. She might be doing it less, though she met Poles more often. At the university, a law student took care of me. He was probably commissioned to observe the Polish group. I think so, because he was interested in all Poles, as if he was trying to help. Whenever someone had a problem, he/she would turn to him. It was he, who proposed skiing trips, visiting galleries and Moscow. We lived in a dormitory in Strumienka next to the ice rink. There was a park there, and we were skating around that park. We borrowed skis and skates and skated around.

I think Teresa was arrested in February, and I was taken to the hospital because of inflamed appendix. I came back from the hospital and the exams started. It was April. I went out to the park for a while to prepare for the exam, and then a student came up to me. He asked if my name was Kowalewska and right behind him was a man in a black coat. I was asked to the car, czornyj voron (black volga), and I already knew that I would share the fate of Teresa. I have to say that as soon as I saw the faces of the criminals in that car, I was overcome with horror and surprisingly the guard with the gun seemed the nicest man on a car. If I had looked for some help, it would have been that officer. But I didn't.

PRISON

Then we got quickly to Łubianka where I stayed in a cell with only two people. Me and a Russian woman. I was called for interrogation almost every night because the interrogations were only at night. Of course, they asked what organization I belonged to in Vilnius. But, they already knew everything, because it was 1950. It started as usual: giving a surname and the first name, and saying what my parents did, where I lived, what I did, what was this Sodality like, when, how, where we met, what we did or where we went on trips. And so on, all the time. Who belonged to the Polish Scouting Association and to Sodality.

Scoutmaster, she advised us to admit that we were in Sodality and that our friends were arrested. She also advised us to say that we met in church, to give a name of a priest and not to hide the fact that we were in the Sodality. Sodality is a religious association to which young people belong.

It happened more or less every night. The same questions. They only added or mentioned a new name and asked if I knew him or her or was he/she there. This repeated for four months. Not every night, but with breaks. They wanted to know if I would repeat what I had said at the beginning. It was about checking the names and places to spy on these people. Nika Gojrzewska, the scoutmaster, was arrested in 49 'and so was the priest. And I was in 1951.

First there was Łubianka, which is an investigative prison. I got article 58 10, points one and eleven, I became a political prisoner. Sentenced to eighty years of labor camp.

After the sentence was read, they took me to the Butyrki prison. There were four of us in a cell. Two Russian women, one older, one blonde and a Polish woman Irena Myszkini, a French teacher with whom I made friends right away. She decided to teach me French. After the sentence was announced, they allowed us to smoke cigarettes. Well, I was writing words on some paper with a charcoaled match. I was learning these words and then I learnt songs. Well, what could you do in a cell? "Chante, chante pour

moi", I walked around this cell and sang a French song. Now, maybe I remember less, only the beginning.

I decided that it is worth using this time to learn something, and because I was learning Russian at school, I was learning German, Lithuanian, Latin, so learning French was an obvious thing to do. Well, I only remember those few songs. And then, when I arrived at the labor camp, it was impossible to repeat it. It's a shame.

I spoke German there. There were many German women and whenever possible, I spoke German. Just Poles, also Germans, Latvians, Lithuanians and Estonians, Russians all those people who were „enemies of the nation“, were deported to labor camps.

TRANSPORT

Of course, you had to walk in pairs, in fours - a guard on one side, a guard and dogs on the other. Of course, the guards kept admonishing "Faster! Faster! One step to the right or left and we'll start shooting without warning!". Since I had this appendicitis surgery and I felt bad, the elderly prisoners, old ladies, Russian women, helped me to walk because I was so weak. I was the youngest, so I seemed to be strong, but still I was very weak after this operation.

We got to the train station and they loaded us. The compartments were separated from what seemed to be a lane for the guards, by the bars. It can be said that on the left side there were barred compartments, and on the right side there was a path where the guards were walking. When we asked to go to the toilet, a guard walked us and stood next to us. It was horrible, humiliating. It was impossible to move without him.

They gave us some salty fish, a piece of bread, but we had to ask for water. We constantly asked the guards to give us a little bit of water because we were eating salty fish and we wanted to drink after it.

We drove to the city of Gorky.

We waited there for several days. It was my first encounter with criminals. It was clear that they were criminals. We, the Polish women, looked different from these girls, wherever in the prison or in a labor camp.

I was distributing food. The old prisoners warned me not to stand in front of these little windows in doors, because when they give such water instead of soup, sometimes prisoners pour it on the kitchen helper from these bowls, so you have to gently pour the soup into the bowls and pass it through the window. There, I met with great sympathy from the prisoners. They found out that I was Polish and I got a package with messages from the labor camp, so I hid it under a bowl, but one Polish woman said that because I was only for a few days there, I cannot store this package, and these are valuable documents. I gave these memories back.

There was also one Ukrainian woman. The girl was jealous of me, or maybe she didn't like Poles, so when I washed the bowls and stretched out my hands, she poured boiling water over them. I stood in front of the hut with outstretched hands and tried to heal them in the sun. And it was such a medicine. But the worst were the nights when bedbugs got into those wounds.

Fortunately, there was no infection at all and slowly these wounds began to heal. After some time, they called us again with bundles to leave and we went to Tayshet, between Krasnoyarsk and Irkutsk. Nobody knew, nobody said anything to anyone. You could see that we were going somewhere far east, because it was getting colder and colder, it was already snowing, so it was clear that we were going somewhere to Siberia. We passed the Ural Mountains. We saw these majestic and beautiful mountains. The Ural Mountains were really impressive and - despite the humiliation which we encountered as prisoners - I remember the beauty of these mountains and then the taiga.

LABOR CAMP, TAYSHET 121

We were driving for two weeks, I guess. We got out of the train and there was no city at all. Somewhere deep in the taiga, there was only a camp fenced with barbed wire. We had to reach the gate on

foot. The gate opened. They were checking our names. The gate closed. Right at the entrance, they directed us to the barracks, where there were beds. Maybe it was Saturday, maybe Sunday, the women prisoners in the camp were not working and someone was coming to the gate knowing that new girls had arrived. It was probably Ms. Regina Siemaszko, who asked if there were Polish women among us. I was the only one, because they didn't send any Polish women at that time. Most of them, liaison officers and soldiers of the Home Army, were imprisoned between the years 1944 and 1945. And I got there in 1951 and knowing the fact that I would be there for eight years made me trembling while walking through the gate. It was then when Ms. Regina Siemaszko probably approached me and took care of me. She knew that these first years were the hardest. Those first days, those first hours ... and she went with me to the barracks. There were mattresses on the shelves, which were filled with straw. When the weather was nice, they told us to take these mattresses and throw out the old straw to fill it up with a new one from the field. There were blankets. One blanket that we slept on, the other that we covered ourselves with. Ms Siemaszko explained we were leaving for work in the morning. Then there's the checking. We stand in two rows and the officer check the presence of all the prisoners. She knew that the first moments were the most difficult and she slowly introduced me to this life in camp. She calmed me down, she wanted me to get used to the fact that there was no way out. The barracks were locked at night and the barracks' janitor, was guarding them.

About eight barracks were there. Eight and a bathhouse. Maybe ten or so, but no more. The bunks were called "nary", how many was there? 5, 10, almost 20 in one barrack. And one such bunk was for four people. Two at the bottom and two at the top. And there were 20 of them. And a meter further next ones. A meter away the next. So almost 80, 100 people were in one building, in the barrack. Everything was made of wood and so was the barrack. Everything was made of wood as it was the only thing available. Initially, in the 1945 and 1946, people slept on boards. After all, there were no mattresses. These were completely different

conditions. When I was there it was different. The mere fact that we were given mattresses and could change the straw from time to time was a luxury.

The barracks were the same. Inside there was a washstand, i.e. boards where holes were drilled and you pushed an iron pole to make the water ran. In the yard, of course, you could wash, because nobody washes inside or in the bathhouse. We went to the baths every two weeks. In baths they disinfected clothes sometimes, although there were still these bedbugs and lice everywhere. Most of all were bedbugs. It was impossible to exterminate them. It was impossible to cope with them.

It was the worst thing in Gorky (a stage camp), where there were so many people, and then in Okrza. Once everything got fine these bedbugs came again from somewhere. It was a plague. And there were pubic lice. And mosquitoes. The mosquitoes weren't as bad as this midge. That little, tiny fly that got everywhere. Those flies were terrible. They entered everywhere. Girls came from taiga sometimes all in blood. The blood was literally running. They got it everywhere. It was so difficult to protect oneself. However, the midges weren't in the factory hall. But there was mica dust and that dust was enough for the flies.

It was a beautiful fall. There was no snow. They sent us to work in the woods. Either planting a forest or laying already cut and fallen wood. As I had a high temperature, they left me in the zone, that is, in the labor camp. And I started working in an office camp. There were employees, there was a site manager, there was a director of the prison but nobody asked, "What can you do?" The fact that everyone was working depended on one's health condition. For example, almost all healthy girls from Ukraine went straight to the logging. They were sent there straight away. Why did they leave me in the labor camp, in the office? Because I still had a fever of almost forty degrees. Appendicitis recurred. It seemed to be no big deal, but it still bothered me. They moved me to the office. In the office, I made lists of all female prisoners. I wrote and rewrote them. Such was the work and it was a lot better comparing to other prisoners'. They started to envy me because it was easier for me, of

course. Once, one Polish woman, because these Polish women, old ladies, prayed and gossiped, said that I am on different terms because I work in an office. And then they moved me again and the real work started. Once the factory was in operation, I went to the mica factory near the camp. We were getting prepared lumps of mica. There was a mine somewhere nearby, where men worked and delivered us already cut pieces of mica. Just like I said, the size of an apple. We also got very sharp knives and we had to split these lumps into such thin plates. You had to learn how to operate with this knife quickly. They were not brought in kilos, but we got little stones on the table. Everyone came to the table, sat on a chair, had a knife. Of course, there was an officer who checked on us. It had to be done quickly and, of course, as many pieces as possible had to be cut.

Some prisoners warned me that I have to be careful, wore mask, watch my eyes, put some scarf on a head so that the dust would not get everywhere. We were all covered in that dust. Everything was sparkling; we really looked like princesses - beautiful. But mica was bad for health. Lungs, eyes, always red, then the hair started falling out. It was a terrible job. It was not that heavy, but very harmful.

From six o'clock, if I'm not mistaken, or from seven o'clock, there was work, because there was breakfast, and then the checking. There is always an appeal in the morning. And it took a long time sometimes because those guards get the number always wrong. Appeal, breakfast and then we started at seven or eight until the evening.

Nobody wanted to expose themselves to punishment, so they tried to attend the appeal whenever possible. Very sick women stayed at the place where there were several beds, because there was no hospital. Since there was nothing in the labor camp - only work in the factory hall or in the forest - the girls did not dodge from the work. In the 1945, 1946 it was definitely different. But in the 1950s it was like that.

Sometimes we stood for an hour because nothing was right: it was either too many, or too few, or someone hid. They kept counting

and counting. There was always such a checking and they counted and then announced that Stalin had died.

DEATH OF STALIN

How could have we been released? After all, we were sentenced to ten years. No way, they could let us go. They were still NKVD, they were still the power despite Stalin's death. When it comes to Polish women and other girls, it was probably the greatest joy we experienced. Some Russian women cried that Stalin had died, which outraged us. Anyhow, we were very pleased. And that's why it was a bit easier for us.

A PARCEL

When I was in Siberia, I did get one parcel. Who would go to Siberia from Vilnius? There was no way of doing that. My sister then studied in Lviv at the Institute of Physical Education. My brother went to the army. So, there was no one to come to me to the camp. I do not remember anyone coming to the labor camp. I don't think they would even let me see my family.

In the parcel I got tea. A box of tea had to be handed over to criminals immediately. They knew the parcel had already arrived. They were already interested in it, they were already standing, and they knew we would give them that tea, otherwise they would take them themselves or cut off ones hand. Because they were making a brew called "Czyfir" and drugged themselves with this drink, it was very strong. I don't know how they did it. It was a drug in the labor camp.

BREAD

Such a piece. It wasn't a slice, it was a little piece. The loaf was cut into pieces that weighed 250 or 350 grams. A piece of bread. Nobody ever cut slices. Sometimes the old ladies would leave half of that piece of bread for us. So that we had a little more. They

shared it because they saw that younger girls needed more than they did.

Fish soup was very common. Or some cabbage, just a few leaves in a pot. And sometimes these cooked pieces of fish. And groat. There was groat quite often. Actually, this groat was good for us later. Some people later, when they came to Poland, they said that they could not look at the groat. After all, this pearl barley is a good groat. And we got it often. We also got some sugar. We had to have such little sac to hide this sugar. We sewed these tiny ones, because you had to keep it somewhere. We didn't drink it right away. When we were given this sugar once a week, we had to hide it somewhere. Everyone had a sac like this and kept sugar in that. Each had, each sewed it. Well, it was for a week. They gave sugar once a week, once every two weeks.

Tea. What was the tea like? The taste was not like tea. When they poured a handful into the cauldron, what kind of tea it could it be? But it was some kind of drink that stood for tea.

One time, it was Christmas and a woman, who was a prisoner, came. I mentioned only a few women here I had contact with, Marysia Skrendo in my barrack and Wokłaniewska and Ms. Regina Siemaszko in other one. So, other woman came, I don't remember her name and said, "Now you are going to prepare a Christmas supper. You have to prepare it." We collected some sugar and a piece of bread. Someone has already received the parcel. „But to prepare it, you have to cut your finger with a knife and go to - let's call it a clinic - or to this medical point and ask for a sick leave” she added. I was surprised and replied that I can't cut my finger. She took my hand, took the knife, and cut my finger.

Of course, I ended up with this bleeding hand and I was trying to prepare something from the products that the girls had collected. It was Christmas Eve and we sang Christmas carols. And other women joined; Germans and even Russians. I was sitting with my bandaged and bleeding hand. And it was such Christmas Eve. Honestly, I was scared a little, especially when she said I had to cut my finger. I couldn't imagine getting my finger cut. How to know how deep to cut it? She quickly took my hand and did it. Good thing was that

she didn't cut it off completely. This was the thing only the prisoners who had been there for six, seven years were capable of doing.

A JACKET

I was just getting sick and I got this padded coat. Some pants and shoes. Lace-up shoes. I don't even remember anymore. I didn't have my stuff. I got all this. I had to get it from somewhere; they had to give it to me. I was in some pumps shoes. After all, it was summer and I was at the university, so I was in pumps shoes and a dress when they arrested me. Maybe I had some thin sweater. I got everything from them. They were all the same. Something like green and brown, sort of. It was all so gloomy and unpleasant. Well, there were padded coats; they had to provide us with them.

There were needles, I don't know, maybe I got them somewhere in a parcel. In the past girls used to make needles of bones, but then we got them in the camp. I already had a normal needle and I was making handkerchief lace beautifully. Well, each of us did something, it must be admitted that each of the prisoner did something; sewed or embroidered or wrote, they did various jobs. They came from work very tired, rested and started to do something. Marysia took old jackets, as the prisoners were given the new ones, and she made holes in them and took out cotton wool. And then, from some pieces, sometimes from a parcel that was wrapped in linen, they sewed quilts together. During Marysia's stay in the labor camp, she made - she was imprisoned for 10 years - two quilts. When they realized that I had such a terrible tuberculosis cough because I started suffering from pneumonia, Marysia gave me one of her quilt. I warmed up, they injected me with blood from my arm into my buttock and somehow I recovered. Although, I still have this cough.

In order to make two quilts in the labor camp, and to obtain cotton wool from these jackets, you really had to work. So she actually did not go out almost anywhere. She sat on her bed and sewed and sewed and embroidered. And then the girls said; "You must learn it too." They found a piece of material from the parcel, because the

parcels were always in special bags made of linen, white linen, either thinner or thicker. They took out threads from various dresses, blouses, and showed me how to do it. They started teaching me embroidery in Tayshtet and then I continued learning in Poćma.

I was the one who embroidered while standing on the appeal.

I made lace with a needle beautifully. Not a hook, not a crochet, but a needle. I gave them away as souvenirs. I don't know if I could make such a beautiful lace now.

After working in the factory, we had a few moments after eating a meal during which we either sewed or met other Polish women, but not only, because Galina - a Russian woman - also came.

GALINA

I told Galina about Moscow, about the Tretyakov Gallery, about my ice skating and skiing. The fact that I was studying, preparing for classes in the largest library and obtaining credits, made impression on her. Her eyes shone with disbelief that someone could live that way. That, there were people who lived like this. She probably never went to school. After all, if they were in a labor camp, they either killed someone or deserved a punishment. Usually they were imprisoned for five or six years. But they also got 10 years of imprisonment. They didn't get two or three. Galina was a young girl. More or less she was my age. She wasn't older. She was around 19, 20 years old. Anyway, they were all young.

Someone must have told her upon arrival. How could she know that I was studying in Moscow? Why did she ask me such questions? Did she like me? It was different with women. She was a blonde and I, a black haired girl, cheerful and smiling coming to the labor camp. No wonder she became interested in me.

She was playing cards. There were some games. She came to me, talked to me, said she got into trouble. She probably got into trouble playing cards. It's hard for me to say, she didn't say

everything that was going on among them. And she said she had to pledge me in cards. She probably lost a lot. She had nothing to pledge anymore and decided to pledge me. I was terrified and said, "You come to me, you ask me to tell you stories, you say that you like me, or even that you love me and suddenly you want to put my life on stake? " But she said there was no way out, she had to do it and if she lost, someone else would take care of me. "Why would someone else take care of m?" I asked. What does it mean?

"Because that's how it is with us. You do not know anything about the inmates yet." It did not seem from this conversation that she would disappear. Absolutely. It was surprising and weird why she died and not me.

And why would someone look after me? If she put me on stake I had to die. Why it was her who died?

We all looked for her. I was looking for her. We checked in other barracks. Galina was gone and nobody came to see me anymore. No criminal came to me, not even talked to me.

Something happened. We couldn't figure out what happened to Galina.

This is such a mystery to me. And not only for me.

She has definitely never been to Moscow. It is not known how many classes she even had or whether she went to school. These criminals must have been sentenced either for theft or for murder. Surely these girls have already outlived their lives. They had a completely different world, unlike ours.

She only came to me, talked to me. She didn't even ask for friends. No. It was different. Once, she came to my barrack. Her hair was so disheveled, she was cold. She was nervous about something. We didn't talk then. Mostly, I was telling stories and she usually asked me to do it.

My stories were very colorful, very colorful, in a nice Russian language. I certainly colored it. Of course. About the smell of apples that lie in my parents' house in the attic ... It was almost like a fairy tale for her. I was with her in Moscow, I was with her in Vilnius. I talked about all the places that I visited. Because I was also in Minsk. She spoke very little. Very little, even about criminals, it was on the last day that she said: "You do not know what these

criminals can do." She was supposed to be different from all the others. At least she was listening. When she came, I didn't feel sorry for her or anything because she liked to listen. And I told stories, and she liked to listen. Anyway, the women who were lying next to me were also listening. We were sitting on the beds. She was sitting across me. Sometimes we would go out and watch the sunsets. I still admire these sunsets even here. If I see some nice sunset, I take a picture. And I have so many sunsets and sunrises in my camera right here. I went to Świnoujście and I also took some pictures of sunsets. They are so beautiful.

Galina was interested in everything I was talking about. Because I spoke Russian. I spoke Russian quite well, apparently I do not have linguistic accretions, neither from Leningrad, nor from Moscow. I speak pure Russian. And she liked it very much. And wherever I was and I did speak, this Russian language in my performance was a bit different. So overlearned, as I was paying attention to the beauty and the pronunciation of this language.

Certainly it impressed everyone. Apparently, a poor girl from somewhere, whether she stole or killed someone, it's hard to say, because she did not want to talk about it, but I certainly interested her, that's why she came. That's why she wanted to know what this world was like. What was Vilnius like. After the Russians came, they took our house because we lived in Vilnius. There were two entrances to the house. One was from the yard side, the other was through the porch. And there were the Russians, who organized a field mail in the house. And so we spoke Russian. These were the first meetings with the Russian language. After all, we did not know this Russian language. I mean, maybe I had a little contact with it, with the multiplication table. Because daddy grew up in Russia, Dad's father was taken to the army in Russia. It was tsarist Russia, after all, Vilnius was under Russian rule, and he served in the army with his family and four children. Grandmother had four sons. And my dad went to Russian school and learned only Russian. And when he came back to Vilnius after the October Revolution, because during the October Revolution my grandparents lost two sons, with the youngest - my Dad Karol - they came back to Vilnius,

and the eldest lived in Rostov-on-Don. Dad never learned the multiplication tables in Polish. He always spoke Russian.

A SNOWSTORM

Whether it was a snowstorm or rain, it started with the wind. A huge black cloud was coming. It was suddenly getting dark, darker than at night, because the nights are almost always bright with snow, especially in winter. But when the storm approached, this „purga” - snowstorm, it got dark. Dark clouds and the wind hit the walls with such force that sometimes it seemed that the walls would fall apart and we would fly away somewhere. These gusts of wind were the worst. And then snow. The snow was falling so thick that one made two or three steps forward and could not see the other man. There were also downpours. The wind rustling ... In winter, of course, it all crackled. The trees cracked of the frost. The gusts of wind were so strong that it was necessary to take shelter in the barracks immediately. The girls who went to the logging were the worst. When such a storm found them there, the poor girls were coming back and others were coming to check if they are okay, not hit by a tree or anything.

NUMBERS

And we had to sew them to these cotton jackets. We all had numbers. I just can't remember what number I had. I didn't record this number because I carried it on my back. After all, when I took it off, I saw this number. And when I arrived, just as I couldn't remember the address of Ms. Regina Siemaszko, I couldn't remember what number I had. At first I remembered and then it faded away from my memory.

For many, many years nothing was said. Even when I was retiring and I already said here in Poland that I was in the labor camps, the ladies who worked in ZUS (Social Insurance Company) said „What kind of labor camps? Who says about labor camps? There were no labor camps in the Soviet Union.” So for a long time no one knew that I was in the labor camps. When I found out that there were no

labor camps in the Soviet Union, that they were sending Poles there on vacation, I was shocked. We came to this dream Poland, we thought it was paradise, and here we found out that a friend was in a labor camp and a friend from Vilnius was sentenced to death twice. It was a shock for us. As a dental technician, my husband decided to travel all over Poland to his colleagues from labor camps to help them. Even now, I was sorting photographs and came across a letter in which I read: "Witek, can I come to you because I would like to get my teeth done".

**Zrealizowano w ramach w ramach
stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego**

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

Stypendium

Ministra
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.